

Michał Ziło OCSO

PIOSENKA HUMBAKA



w|drodze
w

PIOSENKA HUMBAKA

Michał Zioło OCSO

PIOSENKA HUMBAKA

w|drodze


[Kup książkę](#)

© Copyright by Michał Ziolo, 2017
© Copyright for this edition by Wydawnictwo W drodze, 2017

Redaktor
Paulina Jeske-Choińska

Layout, skład i łamanie
Teodor Jeske-Choiński

Redaktor techniczny
Justyna Nowaczyk

Fotografie pochodzą z archiwum wspólnoty trapistów w Aiguebelle.

Opracowanie okładki i stron tytułowych
Małgorzata Wiatr

Publikacja powstała dzięki wsparciu finansowemu Likus Hotele i Restauracje.



ISBN 978-83-7906-136-5

Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów W drodze sp. z o.o.

Wydanie I, 2017
ul. Kościuszki 99, 61-716 Poznań
tel. 61 852 39 62, faks 61 850 17 82
www.wdrodze.pl sprzedaz@wdrodze.pl

[Kup książkę](#)

Od autora

Próbowałem kiedyś na papierze uporządkować mój zawiły żywot, opatrując jego kolejne etapy znakami, przypominającymi trochę chiński kalendarz. Tę niby-chińszczyznę podyktował w dużej mierze sam czas, bo trudno zaprzeczyć, że kiedyś służyłem pod sztandarami psów pańskich, bobrów Pana Boga, starałem się naśladować pustynnego fenka w Algierii, a w Aiguebelle nauczyć się czegoś od wspaniałego kocura Galfryda, nazwanego w poemacie *Jubilate Agno* Christophera Smarta, angielskiego poety z XVIII wieku, „sługą Boga żywego, służącego Mu co dzień punktualnie i pilnie”. Sięganie do obrazów ze świata natury to znak, że jestem jej miłośnikiem, obserwatorem i obrońcą. Aiguebellska klacz Letycja, opisana w *Perle*, ostatnim tomie przygód księdza Grosera, pies trufłowy Florka, mieszkające w mojej celi zakonnej cukrówki Cyryl i Metody, mogą o tym zaświadczyć w swoich językach. Ale, jak to zawsze bywa, musi być przecież coś jeszcze w tej prostej radości w spotkaniach ze zwierzętami, w tym odwoływaniu się do nadanych im dawno temu przez Adama imion. Tomasz Merton, oglądając jesienią zlatujące nad jałowcowy zagajnik wędrowne ptaki, wypowiedział fantastyczną rzecz: „Podczas gdy miłość Boga spoglądającego na istoty tchnęła w nie życie, miłość człowieka spoglądającego na owe istoty odtworzyła we własnym duchu boski zamysł, boską prawdę”. Prawdę „ekstatyczną”, która wyciąga nas z fizycznego i myślowego lenistwa, egocentrycznego stuporu, każe nazywać, pytać, dziwić się, odkrywać nowe związki i zależności, cierpieć, gdy cierpią inni, i opierać się naszej ludzkiej głupocie, gdy chcemy zachorować na śmierć.

Ale akt zrozumienia, akt nazwania nie wyczerpuje przecież całego ludzkiego powołania do bycia mądrym ogrodnikiem. Przychodzi moment, że Bóg „staje przed człowiekiem nie za pośrednictwem rzeczy, ale w swej prostocie”, nie wzywa nas już do nadawania rzeczom i czasowi imion, ale do bycia razem, do komunikacji bez pomocy słów, sylab lub formuł. Dla niektórych są to przechadzki w „nieskrępowanej pustce wiatru”, dla mnie zaś to jakby zanurzenie się w otchłan oceanu, nurkowanie i wynurzanie się, coś na kształt tańca humbaka, jednego z najbardziej niezależnych i nieprzewidywalnych wielorybów, nuczących wciąż niezrozumiałą dla badaczy piosenkę, pełną kląskan, huków, metalicznych uderzeń i nawoływań. W takich chwilach wydaje mi się, że Bóg stanął przede mną w swojej prostocie, nie muszę być już jak pies gończy, pracowity bóbr, pilny kot i fenek z uszami jak radary, mogę obyc się bez ich szlachetnych zatrudnień i po prostu zanurkować w ocean Boga. Ale sęk w tym, że kiedyś, bardzo bardzo dawno temu, połknąłem Jonasza. Tak chciał Bóg, który stał się człowiekiem. Bóg, który „wziął na siebie słabość i pospolitość człowieka, i ukrył się pod postacią kogoś anonimowego i mało znaczącego, w bardzo mało znaczącym miejscu. I w żadnym razie nie rozkazywał innym ludziom, nie był Królem, Przywódcą czy Reformatorem, ani nie wywyższał się nad swoje stworzenia w żaden sposób”. Jonasz – Jezus żyje w moich ciemnościach, daje mi znaki – a jakże – Jonasza, trawię Go i mój apetyt, pożądanie, przemoc powinny Go zabić, ale On żyje, bo „obecność Boga w Jego świecie jako Stwórcy zależy jedynie od Niego. Jego obecność w świecie jako Człowieka zależy w pewnym stopniu od ludzi. Nie znaczy to, że możemy cokolwiek uczynić, by zmienić samą tajemnicę Wcielenia: jesteśmy jednak w stanie podjąć decyzję, czy my sami albo ta część świata, która jest naszą, ma stać się świadoma Jego obecności, by zostać



Florka – piesek przydrożny, a właściwie polny.

przez nią uświęconą i przemienioną w Jego światłości”. Dlatego dbam o Jonasza, wynurzam się od czasu do czasu dla wyrzucenia zużytego powietrza i wzięcia nowego oddechu, ten rytm także należy do humbakowej piosenki, może ktoś ją usłyszy, nie musi do końca jej rozumieć, akceptować, nucić, ważne jest w niej to, że wciąż ją słysząc, a to oznacza, że jeszcze płyniemy. Te zapiski są tej podróży małym znakiem. Mam nadzieję, że kryje się w nich sens dla ludzi stojących na brzegu.

*Gdzieś w okolicy dawnego morza, zwanego dziś
umownie Aiguebelle, rok 2010 i dalej.*

Wynurzenie 5.15

Spowiadałem się u Wawrzyńca. On na wózku inwalidzkim, ja na krześle obitym dermą, wózek nie był zablokowany, więc Wawrzyniec, gdy pochylał się w proroczym zapale do przodu, napierał kołem na moją ścierpniętą nogę. Dobry miałem widok za oknem jego celi: zwieszający się nad farmą las, drzewa, których nigdy nie widziałem, bo stoją za wysoko, ogromne, rozłożyste i, jak wszystko w Aiguebelle, słabo zakorzenione w kamienistej ziemi. Gapiłem się przez okno podczas jego nauki: okno podzielone na osiem równych kwadratów, i w pierwszym kwadracie po lewej w rogu leciał myszołów. Nie Hopkinsowa pustułka, czyli Jezus Chrystus, ale myszołów. Czyli kto? Po rozgrzeszeniu znów go widziałem – chwiał się na czubku świerka w trzecim kwadracie z prawej strony od dołu. Chwiał się, łapał równowagę i słuchał czegoś razem z Wawrzyńcem, który zapomniał, że siedzę obok niego.

Wynurzenie 17.00

Mój czas. Mój, czyli dany do zagospodarowania. Zapełniam go również pisanem do księżowskiej prasy. Mam pięćdziesiąt lat i dalej robię w zeszycie kleksy. Cały zeszyt taki zapaćkany, brudny, obdarty. Przez całe życie chciałem mieć czyste, zadbane i ładnie obłożone zeszyty jak dziewczęta, z którymi przystąpiłem do Pierwszej Komunii Świętej. Wreszcie się pogodziłem – nie przejdę przecież przez pogorzelisko w białym kołnierzyku, choć istnieją ludzie, którzy to potrafią.

Wynurzenie 21.00

Kopałem doły przy kościele pod oliwki. Ale okazuje się, że tam kamień na kamieniu, budowniczowie opactwa zakopywali gruz zaraz pod jego murem. Kamień na kamieniu, wszystko wymieszane, jak niedbałe notatki, niestaranne pismo, szyfr, tajemnica, a potem jest już za późno. Jest za późno. Kto to odczyta? I po co? Bo jak mawiają zgryźliwi poeci – nie wypada z ocalałej skorupy nocnika wnioskować o całej cywilizacji.

Wynurzenie 23.00

Pani Amelia, matka zdobywczego adwokata Henryka z *Pornografii* Gombrowicza, „osoba ze wszech miar cudowna i wspaniała”, zginęła pchnięta nożem przez złodzieja dybiącego na placek z kruszonką. „ALE NIE W TEN SPOSÓB!!!” – rozpacza jej syn Henryk (przyszła ofiara Fryderyka). Nie w ten sposób. Tak zwana głupia śmierć, choć śmierć sama w sobie nie jest głupia, to jedyna pewna w życiu człowieka rzecz, właściwie podstawa naszej godności, a tu proszę – wycieka, rozlewa się jak szklanka wstrętne letniego mleka, i nie da się już jej zebrać, odzyskać, powtórzyć, człowiek chce umrzeć podczas Podniesienia, osunąć się w złocistym ornacie w blasku zachodzącego słońca, a tu nie, nie, nie i już! Udławienie się kostką kurczaka na odpuszcie to jest szczyt naszego przeznaczenia. Albo rana kłuta z ręki łakomego debila. Czy to zresztą ważne? Naprawdę taki ważny jest ten ODPOWIEDNI SPOSÓB? Sposób ma zrównoważyć nieodwracalność? Wskazać na godność człowieka? Jego zwycięstwo nad męką, bólem, samotnością? Pani Amelia i tak odzyskała swoją śmierć, bo dane jej było trochę więcej czasu na konanie: zawezwała wszystkich i kazała podziwiać swoją niezachwianą wiarę w Boga, żadnej skargi, oczy tylko wpatrzone w krucyfiks, pozbierała rozlane mleko. I zwyciężyła gra, gra do końca. Złowieszco to brzmi.

Wynurzenie 16.00

I proszę, niedzielny poranek zszedł mi na orderach, bo dla zabawy i ćwiczenia języka wyciągnąłem z półki Kitowicza, a ten się nie opierał. Zatem o orderach polskich, moskiewskich, francuskich, angielskich i innych rozmaitych, także o krzyżykach małych, jedwabiem na sukni wyszywanych, „które mają być zwyczajne w Rzymie, o których Włosi przez swawolą zrobili przysłowie: *Pur non pisiare*, aby go kto nie ojszczał, czyniąc aluzją do muru, na który, gdy w jakim miejscu znęca się przechodzący Włosi wypuszczać urynę, właściciel muru robi tam krzyż z napisem: *Per amorem Dei nolite pisiare*, tym sposobem zapobiegając dalszej ruinie muru, a więc przez tradukcją, gdy na kim widzą krzyżyk wyszywany, mówią: przypiął sobie krzyż, aby go kto nie ojszczał”.

Wynurzenie 9.05

Podarunek od ptactwa wszelkiego, krzątającego się w rozmarynach, karłowatych sosenkach, forsycjach. Terkotanie, gwizdy, piłowanie, klaskanie, ćwierkanie klasyczne wróbelka, śmiech diabelski cukrówki. Dzierganie i fastryga i na okrętkę. Posłuszne Bogu ptaki. Zszywają tym śpiewem rozdartą podszewkę świata. Bo pod podszewką piekło. Gwoli ścisłości: nie tylko piekło, bo i rury z wodą i ściekami, kable telefoniczne i elektryka. Kto rozdarł, kto rozciachał bezpardonowo podszewkę świata? Marcyś. Wracał z pola do klasztoru, nie podniósł pługa, niedbaluch. Teraz ptaki zszywają ranę, śpieszą się. Śpieszcie się, dobre ptaki, śpieszcie. Nawet nie wiecie, jak heroiczne jesteście, bo – między nami, ptakami, mówiąc – żadna praca i najwymyślniejsze nici nie zszyją tej skromnej rany.

Wynurzenie 17.00

Po maturze porządny uczeń powinien rozplynać się w powietrzu, odejść bez słowa, następnie unikać koszmaru zjazdów, kolejnych rocznic i kolegów z uczniowskiej korporacji, rozrzuconych na wybrzeżach oceanów. Wzruszam ramionami, czytając te przedwojenne, okrutne porady. Dlaczego pisać tak okrutnie? Jest w tym maskowany gniew na przemijanie, niezdarne radzenie sobie z samotnością, egzorcyzmowanie śmierci. Wreszcie tęsknota, żeby ktoś napisał choć karteczkę. I wysłał.

Wynurzenie 21.06

Wezwał mnie, usiadłem. Zebrał się w sobie i zamiast uraczyć mnie natchnioną przemową dopieszczoną przez sztab wyborczy, zaczął wysnuwać z siebie jedwabną niteczkę, doklejać słowo do słowa. Miałem się rozplakać i podtrzymać jego mdlejącą głowę konającego jedwabnika. Śmieszny stary pajak, znający się jednak na robocie. Mógłbym jednym gestem zerwać tę pajęczynkę naiwnej pułapki. Podpowiadał mi, na kogo mam głosować. Innym też już zdążył odpowiedzieć. Następnie prosił, żebym nie kandydował, bo w skali globalnej nie ma to i tak sensu. Po chwili namysłu, na otarcie łez, ofiarował mi Niderlandy. Wzruszony zapytałem, czy ze swojej strony nie zechciałby objąć swoją protekcją Cieśniny Beringa. Nie zechciał. Chrupaliśmy fikcyjne ciasteczka i popijaliśmy niewidzialną kawę, ot, dziecięce zabawy i dziecięca polityka, bo przecież nawet nie symulacje zjednoczonych sztabów dychawicznego NATO. Wreszcie koniec posłuchania. Wyszedłem i czułem się jak dyżurny wałkoń świata książę Karol po rozmowie z Matką: stracony czas, niepotrzebne kalorie. A mogłem w tym czasie machnąć jakąś książeczką akwarelkę w wysokich trawach. Podłubać w skrzynce z przynętami nad Tamizą.

Wynurzenie 23.00

Wyskrobałem dzisiaj z literackiego garnka maksymę – ostrzeżenie, maksymę – przestrożę, maksymę – stwierdzenie: „Granice krytycyzmu: ból fizyczny”. Reszty nie trzeba. Choć kontekst jej sformułowania ważny: Erazm z Rotterdamu drwi z przesądów i naiwnego kultu świętych, ale błaga o pomoc św. Pawła, by ulżył mu w paraliżującym bólu, wywołanym upadkiem z konia w drodze do Gandawy. Niemiecki reformator Hutten modli się do Najświętszej Panienki, kiedy bolą go strasznie stopy.

Wynurzenie 16.00

Bezsensowność, która pozwoliła mi zanotować kilka słów o 2.30 i ułożyć ambitny plan na jutro, które nagle stało się dzisiaj. Pełen werwy i opanowania wstaję jeszcze przed dzwonem. Podpełzło jednak ciężkie, dżdżyste popołudnie i czuję się nagle jak porzucona na mokrej cmentarnej ławce irchowa rękawiczka.

Wynurzenie 8.30

Wolter do Żabojadów. Dużo w tym wywyższania się i niby autoironii, bo przecież sam jest Żabojadem. Ale nie jest to tak naprawdę autoironia, raczej źle kamuflowana mentalność prymusa, który wie, że może się spodobać, trenując oczywiście sztukę nadgranicznych prowokacji bez naruszania granic.

Wynurzenie 6.00

Klasztor – poczekalnia świata.

Wynurzenie 15.00

Pozwolić odejść. Pozwoliłem im odejść. Pozwalam im odejść. Pozwolę im odejść. Pozwolić odejść ludziom, rzeczom, zwierzętom. Tak naprawdę nigdy nie miałem czasu na opłakiwanie. Nie

opłakałem mojego Ojca w roku '81. Został pogrzebany, oczekuje zmartwychwstania i prosi o *Zdrowaś Maryjo*, a ja wróciłem do głupich egzaminów. Nie było czasu. Niektórzy to nawet nie wiedzieli, że ich kochałem. A tam obok szczeka piesek. Utrwalony na zawsze jednym słowem: przydrożny. I poeta, ten od pieska, też nie żyje.

Wynurzenie 23.00

Dotarła do mnie wiadomość bez obrazu. Byłem oddzielony murem, przestrzenią, czasem, pozbawiony form wyrazu zbiorowego – tego, co można nazwać niedowierzaniem, zdziwieniem, nieprzyjmowaniem do wiadomości, przyjęciem do wiadomości, żalem, buntem, niemocą, bólem, przez tę wspólnotę wyrazu szlifowanym i przybierającym formę prostą, godną, czystą, biorącą w karby rozedrganie. Byłem tego pozbawiony, tak. A jeszcze pytanie mojego przełożonego, staruszka: Czy prezydent był KIMŚ WAŻNYM? W jakim sensie – pytam – ważny? Jak na tych dymiących gruzach roztrząsać ważność czy nieważność. Zapewne nie zdawał sobie sprawy, że jest co najmniej nietaktowny. I moje wstrętne reakcje na tego typu pytania: zdawało mi się przez chwilę, że nim pogardzam, wyniośle pogardzam. Moja zatrwająca pamięć (bo pamięta wszystko, co złe, i to, co zostało skrzywdzone) już niosła na dymiącej tacy jego nieumiarkowaną miłość do innego prezydenta: Baracka Obamy, jakby przez to nieumiarkowanie chciał wynagrodzić Afryce wszystkie egzekucje w Kongu Belgijskim za króla Leopolda. I wypływający z tej miłości nachalny lans amerykańskiego mesjasza w postaci książek o nim, odczytywanych uroczyście w refektarzu, w majestacie sakralnego posiłku, odczytywanych nade wszystko małuczkim, którzy upośledzeni małuczkością nie rozumieją amerykańskiego PRZEŁOMU. Oddzielony i jak mi się zdawało „obiektywny”,

zacząłem racjonalizować katastrofę w stylu „ustalmy fakty”. A tak naprawdę była to zazdrość, zazdrość kogoś pozbawionego uczestnictwa we wspólnocie, zazdrość człowieka samotnego, emigranta, którego emocje nie znajdują współczującej odpowiedzi w drugim człowieku ani w przestrzeni.

Wynurzenie 9.00

Codziennik „La Croix” zachował się godnie. Fotografia ślicznej małej Polki, spokojne i smutne oczy tej dziewczynki, trzymającej naręcze biało-czerwonych róż. Pod fotografią nota wyjaśniająca, czym był Katyń.

Wynurzenie 5.30

Brak temu życiu wyrazistości przez brak zdarzeń, po prostu początek i koniec dnia, i środek. Kilka gestów, słów, wysiłek fizyczny lub jego brak, lektura, wzywianie Boga. Jest to przez pewną monotonię obojętniające, w pewnym sensie bezwzględne dla naszych receptorów spragnionych wrażeń. Jest to mocne przez swoją nieustępliwość, pewną niezmienność „programu” i dyskrecję. Jestem silny i obojętniony zarazem. Wyzwolony. Ale z czego wyzwolony? Ze słów chyba, słów zbyt pięknych, podniosłych, gorących, radosnych, niedopuszczających sprzeciwu i wątplenia. A jednak muszę uważać, żeby nie wyciekło ze mnie życie i nie pozostała skorupa nudziarza, dla którego wszystko jest zbyt skomplikowane i przerastające siły albo zbyt proste, bezdyskusyjne i logiczne. I jeszcze jedno – nawet pusta skorupa potrafi się zachwycić sobą i swoją mądrością, zwłaszcza gdy dopuści się skorupę do głosu.

Wynurzenie 17.00

Pielilem i podlewałem. Całkiem niedaleko jakaś krzykliwa nastolatka na koniu otoczona jakimiś przypadkowymi wielbicielemi na chudych rowerkach. Co za ból zalecać się do dziewczyny na takiej wysokości i to z perspektywy rowerowego, przypominającego wykałaczkę siodełka. Koń wreszcie nadepnął na wąż i przestało na chwilę sikać. Śmiech młodych obcych, ani mi w głowie podnieść głowę. W młodości jest coś nieprzyzwoitego – powtarzam sobie za panem Wiciem, a to tu, to nie rozum na koniu. To ego na koniu, koń jak torebka, srebrne sandaalki, do twarzy z koniem w lustrze.

Wynurzenie 6.00

Jestem tej wiosny jak przebudzona ze snu zimowego wiewiórka, wiem, że gdzieś jeszcze mam solidne zapasy poutykane w jakichś dziuplach, zakopane w ziemi i zamaskowane w bibliotece, ale nie mogę znaleźć. Książki ustawiły się na półkach niczym rzymscy legionieści, ich grzbiety rzeczywiście przypominają tarcze. Żywię się więc czym popadnie i gdzie popadnie, nie pogardzam gazetą, broszurą, ulotką, no i takie to studia i czytanie otumanionej wiewiórki. Skończę jak stary traper z wiersza Miłosa – jak się nauczył całej Biblii na pamięć, zaczął czytać etykiety na konserwach. To nie byłby taki zły koniec. Ze względu na te konserwy.

Wynurzenie 17.00

Czytamy w refektarzu wywiad z kardynałem Danielsem. Chyba brakuje mu żarliwości. Wietnamczyka Thuana, też kardynała, czytałem z zazdrością, z tą dobrą zazdrością i zawstyżeniem. O słowach Daniela nie można powiedzieć, że to jest świadectwo, kardynał ma raczej „pewne przemyślenia”. Szkoda

na to czasu. Ocalałem z tego pobrzękiwania dobrą porcelaną jedną anegdotę o kardynale Suenensie z okresu, kiedy w Belgii wrzało (a kiedy nie wrzało?) i rozjeżdżał się w dwie strony skłóconych plemion uniwersytet w Louvain. Służący kardynała zapytał go, czy życzy sobie „une trapiste”, nie „une trapistine”, choć tak byłoby poprawnie, ale mogłoby wyglądać na świntuszenie rozbrykanego służącego. Chodziło mu oczywiście o buteleczkę dobrego piwa trapistów. Suenens zażądał dwóch butelek: z Westmalle i Orval, piwko walońskie i flamandzkie, w ramach mistycznego zszywania Louvain, i tak w ogóle na zgodę.

Wynurzenie 8.30

Lubię przeszklone werandy, te aneksy domów, tę doklejoną do wieczności murów ujmującą tymczasowość, miejsce na zabawy dzieci, klatki z ptakami, doniczki, skrzynki z lewkonią i ziołami, dojrzewające pomidory i kosze z zapomnianym koprem. Wystarczy rzucić pasiasty chodniczek z włosami psa i sierścią kota i przestrzeń już jest urządzona. A do tego wczesny obiad, jak to u zdrowych, wolnych ludzi, składający się z siekanych kotletów, mizarii i krupniku. Czego chcieć więcej. Koń w chłodnej stajni, wóz w cieniu pod gruszką. Lato, najpewniej koniec czerwca.

Wynurzenie 12.00

Rodacy sprawiają wrażenie, jakby wiedzieli ciut więcej, niż to wyrażają ich zdania niezłożone. To się jakoś nie zmieniło, to klasyczne, październikowe: „Co ty, k..., wiesz”. Ni pytanie, ni stwierdzenie, zapewne jakieś wyznanie utajnione, ciężkie od historii, przesiąknięte samotnością geniuszu. Nic tylko wiersze pisać, oczywiście według zaleceń poety, że trzeba wiedzieć dwa razy więcej, żeby odkryć się i napisać, zaśpiewać i zaczarować.



Proszę, żeby mi nikt nie przeszkadzał, gdy zastanawiam się nad jedynym ważnym tematem: śmiercią...

Wynurzenie 13.30

Zapewne Bóg dlatego utrudnia komunikację zza grobu, że w innym wypadku przez wysokiej jakości lunetę zagłędalibyśmy ludziom do garnka, czy nie zmienili przypadkiem naszej cudownej i jedynej na świecie recepty na szczęście. Przyznajmy, byłoby to dla nich nieco uciążliwe i chyba zniewalające. A i na nas spadałoby od czasu do czasu rozczarowanie.

Wynurzenie 20.45

Powinienem to i tamto, ale mówię, że jest za późno. A wszystko jest mi dane: mógłbym specjalizować się w winach, z gorliwością nuworysza stać się ekspertem od serów, przejść w renomo-

wanych browarach kurs piwowarski. Wróć do kraju niczym ten szabrownik – romantyk z Ziemi Odzyskanych: ściskając w ręce klamkę z mosiądzu i kołyszając na palcu klatkę z zasuszonym niczym faraon Ramzes herceńskim kanarkiem. Nie jest za późno, to raczej forma obrony niezależności, wyraz niechęci do zakwalifikowania, ulubiona rola wioskowego idiota, płaszcz ochronny, żeby nikt mi nie przeszkadzał, kiedy zastanawiam się nad jednym ważnym tematem: śmiercią.

Wynurzenie 13.30

Wróćmy do tej kuchni na przystani. Dogrzewało słońeczko, jachty stały, kołysały się, maszty sterczały, kołysały się wraz, krzyż tylko stał nieruchomo. I nieśmiertelna jajecznicza smażona na słoninie, a portier-kucharz zaspany liczył zamówienia, poziewując drapał się po tyłku i wyciągał jajka z lepkiej lodówki. Aż strach, bo tyle zostało do opisanego. Ten przymus może oznaczać, że Bóg nie jest obojętny na pochwały, bo przecież utrwalając, chwalimy. Nie wszystko oczywiście łatwo nam się poddaje i powierza, bo sytuacje i krajobrazy są czujne jak zwierzęta i w mig wyczuwają rzemiechę lub grafomaństwo, i pozostają niewzruszone, jak w moim przypadku Dolina Rodanu. Kombinuję, czy Rodan byłby dobrym imieniem dla psa, ale brzmi to jakoś konspiracyjnie, bardziej pasuje do majora: major Rodan z Komendy Głównej. Dla psa o głębokim, dobrze ustawionym głosie bardziej odpowiednim zawołaniem byłby Dunaj. Nie, pies już nie. Z psem trzeba się żegnać, rozłączać, kłamać mu, znikać, schodzić z drogi, gdy sprzedany z kim innym odbywa spacer. I w imię czego? W imię Boga, wyjazdu, powołania. Brzmi to perfidnie.